Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena 25 gr.

PŁOMIEŃCZYK

CZASOPISMO

„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka". *ADAM SKWARCZYŃSKI*

ROK I — WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1937 — NR 7

MARNOTRAWNI I ADOPTOWANI

WALKA O MUR GRANICZNY.

Perypetie, jakie miały ostatnio miejsce w Obozie Legionowym, a w szczególności uchwały legionistów lwowskich, zwróciły ponownie uwagę na Związek Młodej Polski. Organizacja ta odgrywa dzisiaj rolę nie tyle ze względu na swoją liczebność lub zasięg wpływów, ile ze względu na to, że stanowi jeszcze jedną próbę rozwiązania przez Piłsudczyków zagadnienia młodzieży. Specyficznego posmaku nadaje sprawie fakt, iż wiosenny akces do OZN-u grona b. oenerowców był w gruncie rzeczy jednym z fragmentów starego i zaśniedziałego sporu: Piłsudski — Dmowski, ND — Lewica Niepodległościowa. Z chwilą powstania ZMP został po raz drugi przesadzony mur graniczny, dzielący wrogie domeny polskich Montekkich i Kapuletów.

Pierwszym przekroczeniem zazdrośnie strzeżonej „linii podziału" była, jak wiadomo, secesja grupy działaczy, którzy utworzyli następnie Związek Młodych Narodowców. Secesja ta była dla Stronnictwa Narodowego tym boleśniejszą, że grupa ta liczyła w swoich szeregach spory zastęp wybitnych intelektów. O ile jednak ci pierwsi secesjoniści ograniczyli się do uformowania samodzielnej grupy, poświęconej szczególnemu kultowi Konstytucji Kwietniowej, o tyle grupa p. Rutkowskiego miała ambicje nieporównanie szersze. Świeżo adoptowany młody narybek miał bowiem zostać nie tylko pełnoprawnym członkiem Obozu Majowego, lecz nawet jego jedynym sukcesorem i spadkobiercą. Czy można wobec tego dziwić się, że sprawa ta wywołała tyle protestów i zamieszania? Fatalne posunięcia taktyczne Związku (napad na „ABC") przyśpieszyły rozwój wydarzeń: po powstaniu t. zw. „Czwórporozumienia" i protestach legionistów ZMP został zdegradowany do roli jednej z organizacyj, afiliowanych przez OZN.

SECESJE I SCHIZMY.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że przypływy i odpływy pomiędzy obu obozami (łącznie z secesją lwowskiego „Zespołu Stu") nosiły, jak dotąd, wyraźnie jednostronny charakter. Mur graniczny nie został ani razu przekroczony w odwrotnym kierunku. Nikt z t.zw. „Sanacji" nie zgłosił akcesu do Stronnictwa Narodowego ani do do jego pochodnych. Obóz Legionowy tracił swych ludzi na rzecz skrajnej lewicy, ale nigdy na rzecz przeciwników z prawa. Narodowa Demokracja mogłaby tu zanotować tylko fakt niewątpliwego przenikania idei narodowych do obozu legionowego. Ściślej zaś biorąc — uświadamiania sobie przez szereg jednostek i grup tego obozu swojego narodowego charakteru. Zwrot ku Nacjonalizmowi w środowisku legionowym przypominał bowiem niekiedy do złudzenia perypetie tego molierowskiego bohatera, który ze zdumieniem dowiedział się — że pisze prozę...

Pierwszym odłamem Piłsudczyków, który wywiesił otwarcie sztandar Nacjonalizmu, była grupa „Czerwonej Róży" (r. 1933). Po niej poszły inne odłamy (m. in. „Jutra Pracy"), aż do opartego na niewątpliwie narodowych zasadach Obozu Zjednoczenia Narodowego. Monopolistyczne tendencje Nar. Demokracji sprawiły jednak, że fakty te nie obudziły w jej szeregach najmniejszego zachwytu.

Już sama możliwość tego rodzaju wzajemnych przenikań może służyć dowodem, że linia podziału między obu obozami jest płynną, i że istniejące różnice noszą raczej historyczno-personalny, niż ideowo-programowy charakter. Warunkiem bowiem powstawania schizm ideologicznych i łatwości penetracji jest właśnie zbieżność założeń ideowych. Secesja lub akces może w tych warunkach zredukować się do zwykłej zmiany etykietki, a technika porozumienia — do uprzątnięcia wału nieporozumień i fałszywych uprzedzeń.

Z BUFORU DO SALONKI.

Powody adoptowania przez Piłsudczyków Związku Młodej Polski są różnorakie. Jednym z nich jest to, że ich własna, spłodzona z całą świadomością progenitura całkiem się rodzicielom nie udała. Obóz Legionowy nie posiadał szczęścia do młodzieży. „Młodolegionowy" narybek przyznawał się bardzo chętnie do pokrewieństwa z I Brygadą, wyciągał z tego wszelkie konsekwencje

praktyczne, lecz wbrew dumnym tradycjom swoich Patronów wolał kroczyć przez życie drogami najmniejszego oporu. Synowie Marnotrawni okazali się niegodnymi Wielkiej Tradycji, jaką im przekazać chciano... Zmarnowane zostały olbrzymie wkłady sentymentu i zaufania, jakimi czołowe postacie Obozu obdarzyły swoich rzekomych spadkobierców. W pogoni za mirażem pseudo-totalnego ruchu, który w końcowym efekcie miał doprowadzić do „władzy", w pogoni za hasłami, które mogły zwiększyć dopływ adherentów, — zagubiony został bezcenny Złoty Róg tradycji, na której można było oprzeć zrąb trwałego systemu wychowawczego.

Nie sposób jest nawet wyliczyć tych wszystkich nagłych zakrętów, na których wóz Marnotrawnych pogubił cały swój ładunek kapitału moralnego, z jakim wyruszył w podróż. Nie sposób jest spamiętać tych wszystkich melodyj, jakie wygrywała na otrzymanym w darze Rogu kierująca wozem ekipa... Brzmiały tam melodie nacjonalistyczne i klasowo - marksistowskie, antyżydowskie i filosemickie, rewolucyjne i lojalno-współpracownicze, ludowofrontowe i faszystowskie, bojowo-antyklerykalne i trochę katolickie, ozonowe i klubowo-demokratyczne. Nie było, zdawało się, żadnego kierunku ideowego, żadnej chorągiewki, jakiejby nie próbowało wywieszać po kolei to najdziwniejsze pod słońcem ugrupowanie. Nie sposób jest do dziś dnia przewidzieć, jakie jeszcze tony wydobędą sę z zagubionego Rogu — Widma... Zaiste, ciężkie i smutne widowisko...

W tych warunkach nie można się dziwić, że po publicznym wyrzeczeniu się Synów Marnotrawnych, Obóz Legionowy, a przynajmniej jego trzon zasadniczy, postanowił adoptować wychowanków innej Szkoły Ideowej, którzy akurat w tym momencie mieli swoich rodzicieli i preceptorów po uszy.

Na buforze pomiędzy dwoma ciężkimi wagonami, opatrzonymi napisami „Leg" i „N. D." znalazła się w pewnej chwili młoda i rzutka grupa która miała dość dusznej atmosfery rodzimego wozu. Jest rzeczą zrozumiałą, że grupa ta skorzystała chętnie z zaproszenia przejścia z buforu do luksusowej salonki...

DEGRADACJA I HISZPANIZACJA.

Znacznie bardziej skomplikowanymi są powody zdegradowania Związku Mł. Polski z jego nadrzędnego pierwotnie stanowiska. Przyczyną było tu nietylko Czwórporozumienie i nietylko znane terorystyczne wyczyny, które spotkały się z tak powszechną dezaprobatą opinji publicznej. Wolno jest przypuszczać, że chodziło tu o rzecz znacznie bardziej zasadniczą, a mianowicie o niezgodność haseł programowych adoptowanej grupy z założeniami i celami OZN.

Związek Mł. Polski, podobnie jak i macierzysta w stosunku do niego „Falanga" wysunął, jak wiadomo, koncepcję walki o Przełom Narodowy w Polsce. Istnieją dane, że koncepcja ta spotkała się z mocnym sprzeciwem ze strony niektórych czołowych postaci Obozu i że tu właśnie należy szukać istotnej przyczyny rożdźwięku.

Objekcje, wysunięte przeciwko bojowemu zawołaniu Związku, polegają w pierwszym rzędzie na tym, że „przełom" oznacza w gruncie rzeczy rewolucję, każda zaś rewolucja wywołuje z natury rzeczy kontr - rewolucję czyli kontr - przełom. Konsekwencją więc przygotowywania „przełomu" w Polsce może być przyśpieszenie rozbicia społeczeństwa na dwa wrogie bloki, czyli, „hiszpanizacja" stosunków. Zadaniem zaś Obozu Zjedn. Narodowego jest nie dopuścić właśnie do podobnego rozłamu. Jest to tym ważniejsze, iż w Polsce w przypadku dokonania się owego podziału, siły obu bloków byłyby mniej więcej równe, jedynym więc wyjściem pozostałaby długotrwała wojna domowa.

Zajęcie własnego stanowiska wobec tego sporu nie jest rzeczą łatwą. Rozumowanie powyższe zawiera niewątpliwie sporo słusznych momentów. Jednakże nie wyczerpuje ono całkowicie sprawy. Wręcz przeciwnie — istnieje szereg momentów dodatkowych, dzięki którym dane zagadnienie wikła się i komplikuje, a rozwiązanie staje sę coraz trudniejsze. Ściślej biorąc — rozwiązań jest tyle, ile poszczególnych układów sił społecznych, leżących w różnych płaszczyznach, składa się na obraz konkretnej rzeczywistości. Objektywne zorjentowanie się w charakterze tych sił stanowi jednak niezbędny warunek dla każdego, kto w sposób świadomy i planowy chce wpływać na rozwój wydarzeń.

Dlatego też warto poświęcić nieco bacznej uwagi analizie pojęcia „przełomu", lansowanego z takim uporem przez Związek Młodej Polski. Zagadnienie to wykracza bowiem po za granice wewnętrznego sporu między OZN a jego byłym sektorem młodzieżowym, dotykając szeregu najkapitalniejszych w chwili obecnej problemów.

MATEMATYKA I PRZEŁOM.

Już powierzchowna analiza pojęcia Przełomu doprowadza do bardzo ciekawych i charakterystycznych wniosków. Z pojęciem „przełomu" łączy się bowiem zarówno krytyczna ocena rzeczywistości, którą trzeba aż „przełamywać", jak i decyzja wyboru odpowiedniej taktyki (raczej rewolucyjno - przełomowej niż spokojnej i ewolucyjnej) oraz — co najważniejsze — ujemna ocena szans powodzenia innych ugrupowań (a więc w tej liczbie i OZN), działalność których nie jest w stanie zapobiec potrzebie Przełomu.

Bojowe zawołanie ZMP może być rozumiane poza tem dwojako. Po pierwsze — jako istotne dążenie do rewolucji, skierowanej przeciwko istniejącemu układowi politycznemu, i po drugie — jako hasło taktyczne, będące uzupełnieniem programu OZN, a oparte na przeświadczeniu, że same przez się hasła i założenia Obozu nie są w stanie zapewnić sukcesu.

O ile by odpowiadała rzeczywistości ta druga hypoteza, łączyłoby się to z zagadnieniem znacznie ważniejszym i szerszym, a mianowicie: czy istotnie program i metody pracy OZN są niewystarczające do skupienia wkoło siebie większości społeczeństwa? Albo inaczej: czy nie wytworzył się w danym momencie pewien niekorzystny splot okoliczności, dzięki którym nie może liczyć na pełny sukces nawet najbardziej wszechstronnie przemyślana akcja?

Przy szukaniu właściwej odpowiedzi na te pytania należy zerwać przede wszystkim z metodą liczenia nie na to, co jest, lecz na to, co być powinno. Dla celów analitycznych nie posiadają żadnej wartości rozumowania tego, naprz. typu, że „społeczeństwo musi zrozumieć, musi przyznać słuszność" i t. p. Historja dostarcza aż nadto dużo przykładów, że społeczeństwo niczego absolutnie nie musi. Tu bowiem zaczyna się owa tajemnicza dziedzina psychologji zbiorowej i pozornie iracjonalnych momentów, dzięki którym tak często zawodzą oparte na czysto rozumowych przesłankach koncepcje. Te właśnie okoliczności sprawiają, że polityka nie jest mechanicznym stosowaniem formułek prawnych lub socjologicznych, lecz przede wszystkim — sztuką, mającą więcej wspólnego z intuicją, niż z wiedzą i z logiką ścisłą.

Jedynie zadawalającej odpowiedzi może udzielić w danym przypadku metoda, zbliżona mniej więcej do matematycznej. Podobnie jak w rachunku różniczkowym analiza funkcji polega na badaniu charakterystycznych cech jej nieskończenie małej „różniczki" (differentiale), podobnie i analiza socjologiczna winna wziąć za punkt wyjścia przeciętną jednostkę i jej typowe dążenia.

W analizie matematycznej przejście od nieskończenie małych wielkości do realnych funkcyj dokonuje się drogą odpowiedniego „scałkowania" różniczki; w analizie socjologicznej — drogą pomnożenia „obrazu charakterystycznego" jednostki przez sumę jej podobnych, składających się na dane społeczeństwo. Rzecz prosta — jednostka winna być tu rozumiana nie w sensie biologicznym, lecz jako członek danego Narodu.

JEDNOSTKA A OZN.

Przy przejściu jednostki ze stanu biernego do stanu politycznie czynnego najistotniejszym jest zagadnienie motywów tego rodzaju decyzji. Bez trudu można tu rozróżnić okoliczności wyjątkowe i zwykłe.

W warunkach pierwszego typu dominującą rolę odgrywają zjawiska kolektywne, a przyczyną ich bywa zazwyczaj jakiś potężny wstrząs. Tu właśnie na plan pierwszy wybijają się

idealne pobudki działania. Przykładem może tu służyć Konfederacja Barska, tworzenie armii rewolucyjnej Dantona i Łazarza Carnot, rok 1920 w Polsce, masowe oddawanie złota przez Włochów po zastosowaniu sankcyj itp.

W okolicznościach zwykłych, gdy uaktywnienie jednostki przybiera postać wstąpienia do stronnictwa politycznego, siłą motoryczną są zazwyczaj jawne lub ukryte p o b u d k i o s o b i s t e. W olbrzymiej większości jest to chęć wzięcia udziału w masowym ruchu, który w razie odniesienia zwycięstwa ułatwi zaspokojenie interesów jednostki.

W normalnym akcesie do stronnictwa politycznego tkwi więc zawsze pewien m o m e n t p r z y s z ł o ś c i o w y, moment nadziei na to, co ma nastąpić, a co dana jednostka może przyśpieszyć przez fakt swojego akcesu.

Cechą charakterystyczną OZN jest to, że w jego założeniach i hasłach brakuje niemal całkowicie elementu przyszłościowego. Obywatel nie może odpowiedzieć sobie wyraźnie na pytanie: po co ma on właściwie wstępować do OZN? Trudno mu jest przede wszystkim wytłumaczyć, co się w Polsce stanie nowego, jeśli on i jemu podobni wstąpią do OZN? Nie można mu tak łatwo dowieść, że dopiero po skupieniu w OZN większości społeczeństwa, Rząd będzie mógł przeprowadzić te czy inne zasadnicze reformy.

W rzeczy bowiem samej — nie istnieje żadne junctim między postępami prac OZN, a swobodą działania Rządu. Czynniki decydujące w Państwie i bez OZN posiadają dość możliwości dla zrealizowania tego co uważają za słuszne. Przykładem może tu służyć zarówno budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego jak i reforma rolna min. Poniatowskiego. Faktem zaś jest, że ani Rząd, ani OZN nie postawili dotąd sprawy w ten sposób, że istnieją pewne kategorje spraw, których realizacja jest uzależnioną od zdobycia przez OZN większości w społeczeństwie. Motywami wstępowania do OZN są więc dotąd jeszcze pobudki wyższego rzędu, wymagające znacznego poziomu uświadomienia obywatelskiego.

Jeżeli więc Związek Młodej Polski wysuwa hasło Przełomu Narodowego i walki o niego, wprowadza tym samym do programu OZN brakujący moment przyszłościowy. Innymi słowy — stawia on przed swoimi adherentami cel konkretny, łatwy do uchwycenia i rozbity na kilka etapów. Etapem pierwszym byłaby, rzecz prosta — mobilizacja własnych szeregów, etapem drugim — zdobycie władzy w drodze takiego czy innego „przełomu" i wreszcie trzecim — urzeczywistnienie wyznawanego programu.

IMMUNITET I KOMPLEKS FÜHRERA.

Niezależnie od realności tego rodzaju zamiarów należy przyznać, iż z punktu widzenia taktyki propagandowej jest to metoda w znacznej mierze słuszna. Inna rzecz — że jest to klasyczna taktyka licznych „rewolucyjno - dynamicznych" grup młodzieżowych, mało mająca wspólnego z celami i założeniami Obozu Zjednoczenia Narodowego. Ściślej zaś biorąc — jest to metoda, przechodząca niedwuznacznie do porządku zarówno nad ideologją, jak i nad rolą, jaką ma do spełnienia Obóz. Jest to akcja w kierunku osiągnięcia własnych celów, prowadzona pod osłoną zdobytego i m m u n i t e t u p o l i t y c z n e g o. Możnaby rzec, że stosunek Związku Młodej Polski do OZN jest dzisiaj taki sam, jakim był w swoim czasie stosunek Legjonu Młodych do t. zw. „grupy pułkowników". Pojęciu t. zw. „rewolucji młodolegjonowej" odpowiada tu dość ściśle pojęcie „przełomu". Pod tym względem Adoptowani zaczynają kroczyć jakgdyby tą samą drogą, jaką przeszli w swoim czasie Synowie Marnotrawni... „Wszystko to już było"— powiedziałby sceptyczny zwolennik Ben-Akiby...

Trudno byłoby przewidywać, jaką drogą pójdzie rozwój rozpoczętej z wielkim rozmachem akcji. Wiele tu bowiem zależy od zdrowych założeń programowych, od pionu ideowego kierowników i od ich poczucia odpowiedzialności. Wiele będzie zależało również od tego, czy będzie ułatwione czy utrudnione praktyczne dyskonto prawomyślności politycznej.

Przyszłość pokaże, czy zostaną uniknięte błędy, które tak dotkliwie zemściły się na poprzednich eksperymentach wychowawczych. Przyszłość pokaże, czy zostanie przezwyciężony ów fatalny „kompleks Führera" który jak dotąd kładł na obie łopatki wszelkie próby rozsądnego zorganizowania młodzieży...

Witold Ipohorski - Lenkiewicz.

BŁĘKITNA KREW I NIEBIESKIE BLUZY

Na półkach księgarskich ukazała się niedawno niewielka, lecz bardzo pouczająca książeczka. Jest nią studium pt. „Proletariat".*) Dziełko to nie zawiera w sobie jakichś szczególnie rewelacyjnych myśli, moment sensacji tkwi natychmiast niewątpliwie w osobie autora. Jest nim bowiem ni mniej ni więcej, tylko syn pretendenta do tronu Francji w koncepcjach francuskich monarchistów — Henryk, hr. Paryża. Studium poświęcone jest zaakcentowaniu roli człowieka pracy we współczesnym państwie, opaska zaś reklamowa nosi następujące słowa autora: „Nie mogę wyobrazić sobie monarchii inaczej, jak opartej na warstwie robotniczo - chłopskiej".

Rzecz prosta, inne jest zazwyczaj stanowisko monarchy, odzielonego od swojego ludu kordonem policji i murem ceremoniału, — inne zaś pretendenta, zmuszonego zabiegać o przychylność tego ludu, aby osiąść na tronie swych przodków. Jednakże, mimo to, omawiane dziełko jest bardzo charakterystyczne. Jest ono jeszcze jednym dowodem, że świadomość wagi kwestii socjalnej zaczyna coraz bardziej przenikać do środowisk, dotąd absolutnie nieczułych na niedolę i nędzę współobywateli.

Emancypacja świata pracy postępuje ostatnio coraz szybciej naprzód. Jest to żywiołowy pęd, którego nie zdołają już powstrzymać żadne sztuczne zapory, żadne tamy, wybudowane w sposób najbardziej pomysłowy. Szary człowiek ma dziś głos. Stał się on czynnikiem zasadniczym we wszelkich politycznych kalkulacjach i projektach. Nie ma dziś realnego programu, któryby mógł pominąć jego prawa. Żadna partia, żaden ruch polityczny nie może liczyć na długi żywot, o ile nie postara się oprzeć na pracujących masach.

Książka hrabiego Paryża jest stanowczym głosem przestrogi dla tych wszystkich, którzy widząc w dzisiejszym ustroju społecznym nienaruszalne „Tabu", pragną za wszelką cenę ratować jego zmurszałą strukturę. Jest to apel do świata kapitału, aby zrozumiał wreszcie, że pracownicy — to także ludzie, posiadający takie same potrzeby, aspiracje i ambicje.

Słusznie przytacza autor zdanie Hyacinthe'a Dubreuil'a, z jego studium pt. „A chaucun sa chance":

> „Jeśli dotąd nie ustalono nic zadawalającego w dziedzinie stosunków między robotnikami a przedsiębiorcami, pochodzi to prawdopodobnie stąd, że upierano się stale przy koncepcji jakiegoś odrębnego typu robotnika, który byłby czymś różnym od zwykłego ludzkiego typu".

> „Niech by — dodaje autor od siebie — ci, co zdradzają tak głęboką nieznajomość ludzi pracy, poszli pożyć między nimi chociaż przez kilka miesięcy; niech podzielą w mieszkaniach robotniczych trudy i troski każdego z nich! niech zobaczą z bliska życie robotnicze w całym jego realizmie; niech wyczują wreszcie gorącą solidarność ludu, — a wówczas zrozumieją, w jaki sposób **fałszywa cywilizacja** (podkr. nasze), w imię której działamy, potrafi fabrykować z ludzi tego samego typu grupy społeczne, ujawniające tak różne myśli, przyzwyczajenia, sposoby odczuwania i reakcji!"...

A oto znowu pełna szczerości ocena polityki kapitalistów w stosunku do pracowników:

> „Należy stwierdzić, że wielu pracodawców dało się poznać, jako ludzie pełni przesądów klasowych. Zachowawcy z ducha, lub bardziej ściśle — z konieczności organicznej, dumni ze swej władzy i potęgi ekonomi-

*) Henri, Comte de Paris. Le Proletariat — Paris 1937.

cznej, mają niektórzy z nich skłonność uważać dzisiejszą strukturę społeczną za coś nieprzemijającego, pozostawać w oddaleniu od tych, których zatrudniają oraz mówiąc zadużo o dochodowości, wcale zaś o współpracy".

Analizując przyczyny konfliktu między pracą a kapitałem, tak szkicuje autor podłoże walki klasowej:

„Jeżeli pracownicy w olbrzymiej większości deklarują się, jako antykapitaliści, nie wynika to bynajmniej z tego, że doktryny przewrotu społecznego są szeroko rozpowszechnione w ich środowisku. Robotnik nie studiuje tych doktryn; poza nielicznymi wyjątkami, nie rozumie on, ani nie lubi cyfr, bilansów i statystyk; zna on tylko swoją pracę. Politycy, którzy prowadzą go do boju, wiedzą o tym bardzo dobrze. Hasła, jakie przed nim stawiają, nie są skierowane do jego rozumu, lecz do uczucia. Jeżeli zdradza on entuzjazm, gdy mu się mówi o antykapitalizmie, to dlatego, że w sformułowaniach tego rodzaju, jak: „fabryki dla robotników" lub „kopalnie dla górników" dochodzi on do uświadomienia nurtującego go, lecz niejasnego jeszcze uczucia, zarówno w fabryce, jak i w kopalni, praca jego nie ma tego znaczenia, jakie normalnie posiadać powinna.

Z tej to właściwie **degradacji pracy** (podkr. nasze) pochodzą uczucia ucisku i wyzysku, jakie tak często nurtują pracowników."

Ostatnią tezę rozszerza autor również na proletariat wiejski, stwierdzając, że

„Chłop, który wie od wieków, że wszystko pochodzi z ziemi, uświadomia sobie, że wszędzie się o nim zapomina; cierpi on nad niższością, w której go się utrzymuje."

Rzetelne i sumienne przemyślenie problemu socjalnego, stwierdzenie całego szeregu błędów i anomalij w istniejącym porządku rzczy, doprowadza autora do wyczucia właściwego kierunku, który się zaznacza w krótkim haśle, służącym za tytuł jednego z najważniejszych rozdziałów książki: — **„Zrehabilitować pracę!"**

Wskazanie znamienne w ustach monarchisty, ba! — pretendenta do korony królewskiej. Można tylko życzyć, aby dotarło do niektórych naszych rodzimych polityków i aby zostało przez nich dobrze zrozumiane. Może to się okazać pożytecznym zwłaszcza dla tych, którzy się oddawna przyzwyczaili do zagranicznych, a zwłaszcza francuskich autorytetów.

Bolesław Łukomski.

REFLEKSJE I UWAGI.

ANIMAE VIGILANT...

Miłośnicy piękna Warszawy i jej zabytków mieli ostatnio nielada sensację: z pod lasu rusztowań wyłoniła się wreszcie przebudowana Wieża Grodzka Zamku Królewskiego. W ciągu kilku miesięcy na placyku przed Zamkiem leżały bloki piaskowca, rozlegał się stukot młotów, krzątały się ludzkie mrówki, a nocami płonęły jasne światła elektryczne. Aż wreszcie oczom warszawiaków ukazała się jasna, lekka, a zarazem majestatyczna wieża, podnosząca w niewątpliwy sposób „zamkowy" charakter tej części czcigodnej budowli. Jednocześnie z wieżą została ukończona przebudowa pałacyku „Pod Blachą".

Ogół mieszkańców Warszawy oceni dokonane roboty jako najpoważniejszy krok w kierunku likwidacji tego skandalu, jakim był w ciągu lat całych wygląd i otoczenie Zamku Królewskiego. Trudno jest pojąć, jakim sposobem w ciągu 18 lat można było patrzeć spokojnie na podziurawione rosyjskimi kulami mury pałacu „Pod Blachą", względnie na ceglastą szpetotę parterowych koszar przy ul. Bugaj? Brak środków niczego tu nie może tłumaczyć, bo przecież znalazły się pieniądze na takie luksusowe ober-szkaradzieństwo, jak gmach BGK... Dzisiaj, na szczęście, zarówno sam Zamek Królewski, jak i jego otoczenie, zaczynają już przypominać Europę...

Istnieje jednak pewna kategoria ludzi, dla których radość z powodu przebudowy Zamku połączona będzie z pewnym odcieniem żalu i melancholii. Ci ludzie — to dawni współpracownicy Adama Skwarczyńskiego... Oto bowiem przy okazji przebudowy lewego skrzydła Pałacu Pod Blachą zostało zburzone mieszkanie, które w ciągu ostatnich lat swego życia zajmował Wielki Myśliciel. Tu właśnie, w gabinecie o ciemnych ścianach, odbywały się te niezapomniane rozmowy, noszące bardziej cechy jakiejś spowiedzi lub wykładu kodeksu etycznego, niż zwykłej „konferencji" lub złożenia sprawozdania. Do „Pana Adama" przychodziło się bowiem nietylko po instrukcje co do prac społecznych, lecz również w ciężkich chwilach wątpliwości, konfliktów moralnych lub załamań...

Jakież niezwykłe z punktu widzenia naiwnej „prawomyślności" bywały czasem te rozmowy! Jakie rozległe horyzonty ogarniał oczyma ducha ten przykuty do fotela kaleka! Jakaż wspaniała niezależność myśli, odwaga i wiara w siebie biły z Jego słów! Jakżeż zdumiewającymi były Jego poglądy dla osób, przyzwyczajonych do wąskich ram grupowej ortodoksji! Różne bywały tematy tych rozmów, ale zawsze doprowadzały one do dwuch rzeczy najistotniejszych: do szukania wartości w człowieku i do troski o poziom moralny życia publicznego...

Mieszkanie Wielkiego Ascety zostało dzisiaj zburzone. Ale jeśli prawdą jest, że dusze zmarłych powracają do miejsc, związanych najsilniej z ich życiem, — tu właśnie, nad Zamkiem Królewskim, unosić się będzie wiecznie płomienny i czujny duch Adama Skwarczyńskiego...

Albowiem, jak głosi napis przy wejściu do Krypty Wawelskiej: Corpora dormiunt, animae vigilant...

GORĄCE SERCA CZY PUDEŁKO SPINACZY?

Na murach miast ukazały się już plakaty Pomocy Zimowej. Na Zamku Królewskim odbyło się zebranie Obywatelskiego Komitetu, a z głośników radiowych rozległy się przemówienia dygnitarzy z apelem do ofiarności społecznej.

Zbytecznym jest wyjaśniać, jak słuszną jest idea Pomocy Zimowej. W idei tej mieści się zarazem chrześcijański nakaz miłości bliźniego (Głodnego nakarmić! Nagiego przyodziać!), jak i wielkie pojęcie Solidarności Narodowej. Jest to idea sprzeczna zasadniczo z założeniami liberalizmu gospodarczego, w myśl których nędzarz może zdychać swobodnie z głodu ku chwale „zdrowych zasad gospodarki społecznej" i „żelaznych praw ekonomicznych". Bezrobotny, któremu Naród podaje w ciężkiej chwili braterską dłoń pomocy, ma namacalny dowód, że jest istotnie członkiem społeczności narodowej, i że ta wspólnota nie jest wyrozumowaną abstrakcją, lecz żywą i realną więzią.

W tegorocznych przemówieniach czynników kierowniczych zabrzmiały b. słuszne i pocieszające nuty. Zostało stwierdzone, mianowicie, że czynniki te zdają sobie sprawę z niedociągnięć, popełnionych w roku ubiegłym i że wyciągną z tego odpowiednie wnioski.

Stanowisku temu można tylko przyklasnąć. Co do nas — wydaje się, że rzeczą najwłaściwszą byłoby zwiększenie w projektowanej akcji roli c z y n n i k a s p o ł e c z n e g o. Czynnik biurokratyczny bowiem jest nieodłącznym składnikiem każdej akcji o szerszym zasięgu, jednakże nie wystarczy on tam, gdzie do zbiedzonych i zmaltretowanych ludzi trzeba podchodzić z sercem, ze współczuciem i ze zrozumieniem ich psychiki... Godnych do naśladowania wzorów może tu dostarczyć chlubna i wypływająca z idealistycznych pobudek akcja „Caritasu".

Na zeszłorocznych plakatach propagandowych Pomocy Zimowej widniało sugestywne i wzruszające hasło: „Gorące serca zwalczą mróz". W aferyźmie tym mieści się b. piękna i głęboka myśl. Chodzi więc o to, ażeby w roku bieżącym zwiększyć możliwie udział i rolę tych właśnie serc, czyli ofiarnego i bezinteresownego czynnika społecznego.

Albowiem gorących serc nie zastąpi nigdy pudełko biurokratycznych spinaczy...

MALINY W LISTOPADZIE, CZYLI DO FRONTU MORGES APEL Z POD SERCA.

Z tygodników „Odnowa" i „Zwrot", które uchodziły do niedawna za jedyne oznaki istnienia t. zw. „Frontu Morges" wykluła się ostatnio rzecz znacznie poważniejsza. Z fuzji Chadecji z NPR-em, przy łaskawym współdziale szeregu zasłużonych, lecz, niestety, „byłych" działaczy, powstało tzw. „Stronnictwo Pracy". „Bunt starych", — jak określiło ten ewenement mocno poirytowane Stronnictwo Narodowe...

Kongres połączeniowy obfitował w szereg b. charakterystycznych momentów. Gdy na sali obrad zjawił się, naprz. p. Prezydent Stanisław Wojciechowski, zebrani powitali go Hymnem Narodowym. Dzienniki podały ten fakt, jako zwykłe curiosum, nie wyciągając zeń żadnych dalej idących wniosków. Kto wie jednak, jak to należało rozumieć. Kto wie, czy nie było to głębszym symbolem... Tak przyjemnie było chyba przymknąć oczy i wyobrazić sobie przez chwilę, że oto nic się w Polsce nie zmieniło, że jest jeszcze rok 1925, że na sali jest obecny prawowity Głowa Państwa, a na Zamku Królewskim nie rezyduje nikt inny, przed kim pochylają się sztandary państwowe... Tak przyjemnie było pomyśleć, że wszystko, co się dzieje nazewnątrz, to jest stan **ex lex**, złuda i fata-morgana, a tylko tutaj uchroniła się oaza praworządności i realnego świata trzech wymiarów... Marzenia są rzeczą słodką, a czasem jedyną, jaka pozostała...

Co do nas, pozwolimy sobie zwrócić się do nowego ugrupowania z następującym apelem od serca:

Dostojni i Czcigodni Panowie! Wiemy dobrze, jaka nas dzieli różnica wieku oraz zasług dla Ojczyzny. Wasze zasługi — to Giewont, nasze — to skromny malutki pagóreczek. Zdajemy sobie sprawę z szacunku, należnego siwym włosom. Starość — rzecz święta, zwłaszcza, gdy idzie z nią w parze rozwaga, mądrość i wyrozumiałość...

Wiemy dobrze, że pracowaliście dla Polski uczciwie i z oddaniem. Wiemy, że w gmachu naszej państwowości są pokaźne bloki, wmurowane waszemi rękoma. I nikt nie myśli tych waszych zasług kwestionować ani obniżać. Przeciwnie — chapeau bas i niskie ukłony! Ale zrozumcie, że musi na tym świecie istnieć jakiś porządek. To nie jest rzeczą normalną, gdy drzewka zakwitają po raz drugi późną jesienią. A wy jesteście taką właśnie jabłonką, co zakwitła w październiku czy listopadzie... Z takiego kwiatu owocu nie będzie... Piszą o was, to prawda, gazety i rumor jest znaczny, ale o malinach kwitnących w grudniu też piszą...

Dostojni Panowie! Darujcie, ale nie imponujecie nam wcale swoim wyczuciem potrzeb dzisiejszych. Z żalem prawdziwym stwierdzamy, że nie mamy żadnego pożytku z waszej eksperjencji. Wręcz przeciwnie —

uważamy was właśnie za błądzących i zaślepionych. Im więcej lat upływa od czasu, gdy byliście czynni, tym bardziej zacieśnia się wasz horyzont. Coraz bardziej oddalacie się od życia. Coraz mniej rozumiecie współczesne problemy. Przeżuwacie wciąż jeszcze stare zakorzenione urazy psychiczne. Nie zdajecie sobie nawet sprawy, w czyim interesie prowadzicie swą akcję. Nie domyślacie się nawet, kto was pociąga z tyłu za sznureczki, a wy — dostojni i poważni — wyczyniacie przedziwne łamańce jak kukiełki w budzie jarmarcznej! Czy to nie smutny i żałosny widok! Czy to nie zgorszenie i obraza boska!...

Czcigodni Panowie! Rozumiemy Was dobrze: wy chcecie rewanżu za Maj! To jest ta właśnie i d é e f i x e, która was opanowała całkowicie, która wam przesłoniła cały świat! Na sztandarze swoim wypisaliście hasło zemsty, choć nie jest to rzecz godna chrześcijan... Całą swą psychiką tkwicie dotąd w okresie przed majem. Nie chcecie popychać naprzód koła historii, lecz chcecie go odwrócić... I dlatego właśnie uważamy was za ślepych....

Dostojni Panowie! Wybaczcie szczerość, ale idźcie już raz na zasłużony spoczynek! Szczerze mówiąc — nic już rozsądnego nie wymyślicie! W polityce tak jak w miłości — trzeba umieć w czas odejść. Rozumiemy wasze urazy — ale my naprawdę mamy większe zmartwienia.... Nie będziemy je precyzowali, bo i tak nie znajdziemy z wami wspólnego języka. I nietylko my, ale również i ci młodzi, których uważaliście za bliskich sobie politycznie i ideowo... I dlatego, póki czas jeszcze prosimy pokornie: wykonajcie w tył „Zwrot" i błagajcie Pana Boga, aby odegnał od Was pokusę zaczymania raz jeszcze „Od - nowa"...

NAWRÓT DO PRAŹRÓDEŁ.

W poważnych perjodykach polskich dotąd jeszcze spotykają się echa odbytego we wrześniu rb. III Katolickiego Studium Społecznego. Dotąd jeszcze szereg poważnych publicystów zabiera głos, ażeby skonfrontować szereg zjawisk chwili bieżącej z tezami katolickiej myśli społecznej, uwypuklonymi podczas obrad Studium.

Należy stwierdzić, że znajomość stanowiska Kościoła w kwestji społecznej jest jeszcze u nas wyjątkowo słaba. Przyczyną tego jest m. in. to, że cały szereg czynników pracuje celowo nad zaciemnieniem w świadomości ogółu kierunku nowoczesnej myśli katolickiej. Z jednej strony czynione są wysiłki, aby przedstawić Katolicyzm jako naturalnego sprzymierzeńca i filar ustroju kapitalistycznego. Według tych sugestyj — „pan dziedzic", kujący w mordę fornali, bankier — hyena giełdowa, fabrykant, wyciskający siódmy pot z robotnika i proboszcz żyjący ze swych owieczek — to naturalni sojusznicy w dziele wyzysku mas pracujących.

Druga zaś strona, to znaczy „bene nati et posessionati" — bynajmniej nie protestuje przeciwko tego rodzaju stawianiu sprawy. Wręcz przeciwnie — uzyskanie sankcji religijnej dla nieograniczonego prawa własności stanowi do dziś dnia przedmiot gorących zabiegów warstw uprzywilejowanych. W pogoni za tą sankcją puszcza się mimo uszu i zamyka oczy na wszystko, co może świadczyć o wręcz przeciwnym stanowisku doktryny katolickiej. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć, co w kwestji socjalnej głoszą najwyższe autorytety Kościoła.

Jeśli sięgniemy do źródła współczesnego ruchu chrześcijańsko-społecznego — do Encykliki **„Rerum Novarum"** Leona XIII z dnia 15 maja 1891 roku, znajdziemy tam zdania, mówiące o „wielkiej ilości ludzi, którzy **znajdują się w stanie okropnej a niezasłużonej niedoli"**, a którzy „osamotnieni i bezbronni ujrzeli się z czasem wydanymi na łup nieludzkości panów i nieokiełznanej chciwości współzawodników".

Wydana w 40 lat później encyklika Piusa XI **„Quadragesimo Anno"** stwierdza w dalszym ciągu, że

> **„ten stan rzeczy znosili łatwo ci, którzy opływając w dostatki, widzieli w nim poprostu s k u t e k k o n i e c z n y p r a w g o s p o d a r c z y c h i w konsekwencji całą troskę o ulżenie biednym zostawili wyłącznie miłosierdziu, jakgdyby miłosierdzie miało pokrywać te nadużycia, które ustawodawcy nietylko tolerowali, ale czasem nawet powagą ustaw zatwierdzali.**
>
> **Natomiast najniechętniej znosili te stosunki ciężko przez nie skrzywdzeni robotnicy i burzyli się przeciwko dalszemu nadstawianiu karków pod to twarde jarzmo". Katolicy zaś „w żaden sposób nie mogli się zgodzić na to, by tak krzycząca i tak nieuzasadniona nierówność w podziale dóbr ziemskich miała naprawdę odpowiadać zamiarom Najmędrszego Stwórcy".**

Jeśli zaś chodzi o prawo własności, a raczej o jego ograniczenie w imię dobra powszechnego, to według encykliki **„Divini Redemptoris"** państwo ma prawo

> **„nakłonić warstwy posiadające, aby ze względu na wspólne dobro wzięły na siebie owe ciężary, bez których niemożliwe jest ocalenie społeczeństwa".**

Stanowisko Kościoła w kwestii socjalnej jest więc niedwuznaczne. Trzeba jednak stwierdzić z przykrością, że realizacja tych zasad na gruncie polskim przechodzi wciąż jeszcze przez okres ząbkowania. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że znajdują się wśród duchowieństwa jednostki, bardziej grawitujące ku możnym świata tego, niż ku ubogim, skrzywdzonym i wydziedziczonym. To, że całą społeczność katolicką obowiązują encykliki Stolicy Apostolskiej, niczego jeszcze nie dowodzi. Co innego bowiem słowa zgody i formalne poddanie się, a co innego wewnętrzne przeżycie, zrozumienie i przekonanie.

Miejmy jednak nadzieję, że prąd odrodzenia myśli katolickiej, tak silny dzisiaj na Zachodzie, dotrze wreszcie i do nas. Stanowisko Kościoła w kwestii społecznej ułatwia bowiem znacznie możność zrealizowania ustroju, w którym człowiek pracy byłby nie ostatnim, lecz pierwszym obywatelem w Państwie.

FLAGOMANI PRZY PRACY.

W dwa dni po święcie Niepodległości, gdy znikły już z murów biało-czerwone chorągwie, portrety wodzów i girlandy zieleni, oczom zdumionych warszawiaków ukazały się ponownie postacie dozorców, przytwierdzających do bram chorągwie narodowe Nikt nie mógł zgadnąć, z jakiej to okazji i na czyj to honor dekoruje się ponownie stolicę? Nie przyjechał wszak do Warszawy żaden dostojny gość z zagranicy, nie jest to żadne święto ani rocznica narodowa, nie stał się żaden ważny wypadek w życiu publicznem... Ku wieczorowi sprawa wyjaśniła się — chorągwie zostały wywieszone z okazji Kongresu kupiectwa chrześcijańskiego w Warszawie...

Należy stwierdzić ze smutkiem, że mamy tu do czynienia z bardzo przykrem i bardzo dla nas niepochlebnem nagminnem zjawiskiem. Zjawisko to można nazwać m a n i ą c h o r ą g w i a n ą, która raz w raz wybucha w najmniej ku temu odpowiednich okolicznościach. Flagi wywiesza się u nas przy lada okazji: Święto Gór, Tydzień Matki, Tydzień Dziecka, Dzień Oszczędności, Dzień Trzeźwości, przyjazd Sokołów z Ameryki — wszystko jest dobrą okazją dla naszych „uspołecznionych" flagomanów... Maluczko, a zaczniemy wywieszać chorągwie na zjazd posiadaczy renty ziemskiej lub Tow. Hodowli Królików... Sarmacka pomysłowość jest niewyczerpana...

Czy trzeba udowadniać, jakie są konsekwencje całej tej niepoważnej flagomanii? Czyż nie jest widoczne, jak w świadomości obywateli zaciera się poczucie wagi i h i e r a r c h i i poszczególnych świąt i uroczystości publicznych? Czyż nie jest jasne, że wywieszenie chorągwi państwowych raz na Święto Niepodległości, a w dwa dni potem — na zjazd kupiectwa, deprecjonuje i obniża znaczenie Święta Narodowego?...

Tłumaczenie się względami gościnności, że to „stolica wita", że to „na cześć gości", że gość w dom etc." — nie może być brane poważnie. To byłoby dobre w takim, naprz. Piotrkowie czy Kielcach, gdzie zjazd taki byłby ewenementem dla całego miasta, gdzie każdy o nim wiedział by zawczasu. Ale tutaj, w Warszawie? Cóż może wiedzieć taki, naprz. mieszkaniec Woli czy Burakowa że gdzieś tam w śródmieściu, w Filharmonii, odbywa się zjazd, że „stolica gości w swych murach" etc? Od tego jest przecież stolicą, ażeby gościła. Zjazdy w stolicy — to przecież reguła, a nie wyjątek. Zgoda, że trzeba było udekorować gmach Filharmonii i dworzec kolejowy, ale żeby tak odrazu całe miasto? Ochotę, Czerniaków, Grochów, Targówek i Siekierki? Eiże, czy to nie przesada?

Uważamy, że czas jest najwyższy postawić sprawę jasno i wyraźnie: dość już całej tej zabawy! Przestańcie panowie bawić się chorągiewkami, bo ośmieszacie nietylko siebie, ale i nas wszystkich. Flaga państwowa jest od tego, aby być wywieszaną w święta narodowe lub w wielkie rocznice, a nie przy lada okazji!

Jeśli chodzi o stanowisko władz w tej sprawie, należy wziąć je wyraźnie w obronę. Wiemy dobrze, że zajmują one stanowisko nieprzychylne nadużywaniu flagi państwowej. Ale wiemy również dobrze, że znajdują się one pod terorem rozmaitych rozhisteryzowanych „społeczników" (a najczęściej „społeczniczek") i że nie zawsze mogą się oprzeć lawinie bombastycznej, a w gruncie rzeczy dętej frazeologii.

I dlatego należy sobie życzyć nadejścia dnia, w którym delegacji zgłaszającej się do urzędu w sprawie wywieszenia flag, woźny oświadczałby z miejsca krótko i węzłowato: wont!...

wil.

PARJAS, KTÓRY WYGRYWA WOJNY

Bismarck powiedział w swoim czasie, że wojnę z Francją w 1871 r. wygrał nauczyciel niemiecki. Twórca II Cesarstwa, który w ciągu lat całych wykuwał pracowicie potęgę Rzeszy Niemieckiej, musiał przyznać, że w ostatniej instancji zadecydowała o zwycięstwie nie przewaga środków technicznych, lecz z przewagą ducha. A tę moc ducha i wolę zwycięstwa zaszczepił młodemu pokoleniu niemieckiemu nauczyciel ludowy, ów ceniony i szanowany „Herr Lehrer"...

Na słynne powiedzenie Bismarcka powołują się dzisiaj wszyscy. Powołują się nań kraje, które stworzyły dla swojego nauczyciela i odpowiedni zespół warunków materialnych i odpowiednią atmosferę psychiczną, powołują się również kraje, w których sytuacja nauczyciela przypomina raczej pozycję pariasa, niż osobnika z wyższych kast społecznych... Ale ten nędzny poziom jego wegetacji, ta jego degradacja społeczna nie wpływa w najmniejszym stopniu na obniżenie stawianych mu wymagań. Od zbiedzonego pariasa żąda się podawnemu, aby wygrywał wojny...

* * *

Wychowanie młodego pokolenia.. Nie ma w Polsce chyba bardziej zaniedbanego problemu, bardziej zignorowanego... Przede wszystkim może dlatego, że mamy zbyt dużo „wychowawców". W tej dziedzinie za speca uważa się każda niemal kucharka lub szwaczka. Nie ma trudności, którejby nie można było rzekomo batem czy krzykiem pokonać.

Ale nie trzeba sięgać aż tak daleko. Nie lepiej przedstawia się sprawa w środowisku inteligenckim. Co przeciętna przedstawicielka tak zw. inteligencji wie o wychowaniu ponad to, czego nauczyła się od matki? W tej dziedzinie kwi-

tnie zadziwiający konserwatyzm, sięgający czasów konwiktów bazyliańskich, a przepiękne książki o wychowaniu czytają tylko nieliczni pedagogowie. Cóż z tego, że najwięksi mędrcy nazywają pedagogiką sztuką czarowną, co wykuwa lepszego, szlachetniejszego i piękniejszego człowieka? Cóż z marzeń wielkcih polityków, myślicieli, świętych, którzy w wychowaniu widzą jedyny środek na zło ludzkie, na biedę i ciemnotę, którzy przez sztukę wychowania pragnęliby zaprowadzić spokój i szczęśliwość na ziemi? Setki dzieł pedagogicznych służy narazie tylko nielicznym wybranym, bo mało kto z szerszych warstw społeczeństwa interesuje się taką rzeczą, jak wychowanie...

Poza domem, jak wiadomo, wychowuje szkoła. Ale — jak wychowuje? Tu chyba nie należy mieć szczególnych złudzeń. Szkoła zwłaszcza średnia, nie spełnia dziś niestety swego zadania. Szkole brak jest ideałów i optymizmu. Szkoła średnia ugina się pod ciężarem nieufności, hipokryzji, wyrafinowanego kłamstwa i biedy materialnej. Najpiękniejsze ideały są bez znaczenia, gdy brak jest wykonawców. — W szkole średniej nie tylko nie ma tych wielkich ideałów, ale nawet te małe idee i zasady, które niejako leżą w jej mechanizmie, nie są należycie realizowane. Do wcielania ich w życie brakuje wykonawców. Nauczycielstwo znajduje się dziś w takich warunkach pracy, że nie stać go więcej jak na przeciętny „rzemieślniczy" wysiłek. To jest właśnie ta smutna i gorzka prawda, z którą szarpią się i borykają najlepsze jednostki wśród nauczycielstwa, czując jak im zwolna opadają skrzydła u ramion i jak ich z dniem każdym pochłania i oblepia coraz bardziej beznadziejna szarzyzna życia...

Czy może być dobrym wychowawcą nauczyciel, zarabiający jak nędzarz, którego nie stać na zaspokojenie elementarnych potrzeb materialnych i duchownych? Przecież pensja młodego profesora w szkole prywatnej nie przekracza z reguły 120 — 150 zł, a iluż jest takich, co otrzymują 80, 90, 100 zł za całomiesięczną pracę (przy 25 godz. tygodniowo!). Stary nauczyciel po 20, 30 latach pracy otrzymuje 300 — 350 zł. (maksimum). Za co ma on kształcić dzieci, jakim okiem musi patrzeć na swoje upośledzenie, porównując zarobki kolegi z ławy uniwersyteckiej — adwokata, lekarza, inżyniera — ze swoimi własnymi groszami? W większym mieście stara się dorabiać lekcjami, lub innym zajęciem ubocznym, aby jako tako związać koniec z końcem; w mieście mniejszym — klepie poprostu biedę...

Ale nie dość na tym. Nauczyciel ma nad sobą władzę, bo jakżeż może się obejść bez władzy. Ma nad sobą dyrektora, właściciela szkoły i wreszcie administrację szkolną (wizytator, inspektor). Zdawałoby się, że tam, gdzie wymaga się od pracownika tak subtelnej i odpowiedzialnej pracy, jak wychowanie młodzieży, stosunek służbowy wobec tego wychowawcy winien być oparty na zaufaniu, serdeczności i uszanowaniu godności ludzkiej. Niestety, w rzeczywistości bywa zazwyczaj wręcz odwrotnie. Nauczyciel drży przed Dyrektorem, Dyrektor przed właścicielem szkoły i wizytatorem. Słyszy się często gorzkie żale nauczycieli na tak niezwykle brutalny stosunek do nich ich zwierzchników, że w głowie się nie mieści, aby w jakimkolwiek, nawet zwykłym rzemieślniczym szewskim warsztacie mogły panować takie stosunki służbowe, jakie panują w niektórych szkołach. Małe czasem uchybienie powoduje groźbę utraty pracy przez nauczyciela. A w obecnych ciężkich czasach nie tak łatwo o pracę, zwłaszcza w zawodzie nauczycielskim. Stąd tylko pochyły kark zabezpiecza najpewniej przed niebezpieczeństwem...

O stosunku niektórych wizytatorów do szkoły i nauczyciela można by tomy napisać. Wszystkim wiadomo jaki popłoch może wywołać ten przedstawiciel nadzoru szkolnego, jak dąsa się na wszystko, jakie stawia wymagania. Atylla, Bicz Boży — to „szczeniak" wobec niego. Wizytator może przecież zmienić kategorię gimnazjum, może nawet zamknąć szkołę.

Właściciel szkoły to najczęściej znów nie mniej groźna władza. Wymawia regularnie pracę na 3 miesiące przed końcem roku szkolnego, a angażuje dopiero po wakacjach na początku nowego. Ze nauczycielstwo drży z niepewności, czy nie pójdzie na bruk i że nie otrzymuje pensji za miesiące wakacyjne, to nic go nie obchodzi... A przenoszenie nauczycieli — owe istne wędrówki ludzi z miejsca na miejsce, czy zapewniają one pedagogom niezbędny spokój ducha, czy pozwalają skupić się w twórczej pracy?

Szkoła — ktoś powiedział — musi być syntezą potrzeb społecznych, musi być świadomą kierowniczką rozwoju kultury, ma od najmłodszych lat prowadzić młode pokolenia po linii nakreślonej przez przodowników narodu. Nie zabraknie złotych myśli i przykładów dla wykazania czym winna być szkoła i jaką może rolę odegrać.

Ale podstawowym warunkiem rozwiązania tych wszystkich zagadnień jest stworzenie ludzkich warunków bytu dla nauczyciela i odpowiedniej atmosfery dla jego pracy w szkole. Maltretowany i zbiedzony parias musi się poczuć cenionym obywatelem, mającym realne dowody oceny swojej wartości i roli. Talenty i ofiarność nauczycielstwa dokonają wówczas reszty.

Maciej Wyszomirski.

Z PRASY

INNA STRONA MEDALU.

Jeden z ostatnich numerów „Myśli Polskiej" *przyniósł b. ciekawy artykuł p. F. Zachory pt.:* „Niewesoły horyzont". *Podejście do tematu autor uzasadnia w następujący sposób:*

„Najwdzięczniejsze u nas pole do popisów dziennikarskich, to bicie w endeków. I cenzura... ten... tego, i wogóle. Więc się wali w nich jak w bęben.

Ale moze tak dla odmiany o innej stronie medalu?"

Tę „inną stronę" autor charakteryzuje temi słowy:

„Ludzie zasłużeni w walkach niepodległościowych znajdują się — i słusznie — na pjedestale w naszym życiu narodowym. Cześć im się dozgonna i pozgonna należy. Ale liczni spośród nich (wespół z uzurpatorami tych zasług) kreują się na akcjonarjuszy niepodległości, dyskontują dawne zasługi, interes narodowy często degradują do skali interesu własnego, okupują stanowiska, na których nie wiedzą co robić lub nie chcą — zapominając, że najwspanialsze zasługi na polu walki nie tworzą uniwersalnych zdolności do wszystkiego: „Zasługa dla Ojczyzny — czytamy w księgach Pielgrzymstwa Polskiego — jest jak ziarno; kto obnosi to ziarno w ręku i wszystkim pokazuje, wołając: oto jest ziarno wielkie, — tedy wysuszy je i nic z niego niema".

Słuszne to,bardzo słuszne słowa. Ale Szan. Autor myli się co do jednego. Oto ludzie, zajmujący stanowiska „na których nie wiedzą co robić" — bardzo szybko wynajdują sobie zajęcie. Poprostu zużywają olbrzymie ilości energji i pomysłowości, na maskowanie wobec podwładnych swojej ignorancji i indolencji. Największa bowiem megalomania nie przeszkodzi im w zorjentowaniu się, ilu „podkomendnych" przewyższa ich o głowę wiedzą i kwalifikacjami.

PRASA O PŁOMIEŃCZYKU.

Ostatnie numery „Płomieńczyka" *wywołały żywą reakcję w prasie zarówno warszawskiej, jak i prowincjonalnej. M. in.* „Wieczór Warszawski" *zamieścił artykuł p. t.:* „Zerwać z systemem szwagrowo - brydżowym! Nowych ludzi i nowych metod żądają od sztabu Ozonu „płomienni" Piłsudczycy", w którym [illegible]

... Tak wyglądają w ogólnym streszczeniu postulaty grupy Piłsudczyków, uważającej się za najczystszą spadkobierczynię ideową nietylko Adama Skwarczyńskiego, ale wyższego jeszcze autorytetu...

Cały ten ciekawy artykuł nosi tytuł „Pocałunek Almanzora". Wykładnia tej przenośni politycznej jest nie łatwa. Rozumiemy, że Alpuhaerą są resztki BBWR. No dobrze, ale kto jest tym Almazorem i gdzie są Hiszpanie? Normalnie rzecz biorąc, można by za Hiszpanów uznać wszystkie żywotne partje polityczne. Ale że „Płomieńczyk" nie chce bronić tych partyj, przyznając się wyraźnie do OZN, to porównanie zaczyna się wikłać, a najważniejsze — kto jest tym Almanzorem?

Pozostawmy tę zagadkę. Wołanie o zupełnie nowych ludzi w OZN jest bardzo charakterystycznym objawem stosunków politycznych".

Rozwiązanie intrygującej Autora zagadki nie jest trudne. Trzeba tylko oprócz słów „Bronią się jeszcze twierdze Grenady" pamiętać o słowach: „Pocałowaniem wszczepiłem w dusze jad który pożerać was będzie"...

Omawiając ten sam artykuł „Słowo Pomorskie" *w artykule pt.:* „Dyskusja o BB i OZN-ie. Spadkobiercy ideologji Skwarczyńskiego utożsamiają OZN z BBWR-em" *pisze:*

„Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że nawet „płomieńczycy", którzy mienią się spadkobiercami najczystszej idei Twórcy obozu majowego, wołają o nowych ludzi. Konserwatyści tymczasem sądzą, że można zatrzymać tych samych ludzi i stosować te same metody, a tylko firmę zmienić".

Z artykułem tym, niestety, nie możemy się zgodzić. W wywodach naszych podkreśliliśmy bowiem wyraźnie, że założenia OZN uważamy za rzecz nową i rewolucyjną w stosunku do znanej pseudo-elitarnej teorii, na której oparty był Blok Bezpartyjny.

Ostatnie numery „Płomieńczyka" były omówione ponadto na łamach „Słowa, Warsz. Dziennika Narodowego, Nowego Kuriera, Dziennika Bydgoskiego, Kuriera Łódzkiego, Gońca Pomorskiego, Lwowskiego Dziennika Narodowego, ABC, Głosu Lubelskiego. Lecha, Akcji Narodowej i Głosu Narodu".

Teorja i praktyka popierania handlu polskiego

Zagadnienie usunięcia wad strukturalnych Narodu Polskiego stanowi dzisiaj ulubiony temat publicystyki społeczno - gospodarczej. Za rzecz najważniejszą uważana jest tu regeneracja polskiego stanu średniego, to znaczy polskiego kupiectwa i polskiego rzemiosła. Z zagadnieniem tym łączy się konieczność przestawienia psychiki społeczeństwa polskiego w kierunku handlu, albowiem od czasu niebywałego w dziejach przerostu stanu szlacheckiego, zawód kupca stał się w Polsce pogardzany i niedoceniany jako czynnik bogactwa narodowego. Ten właśnie zanik zmysłu handlowego stał się bezpośrednią przyczyną opanowania handlu polskiego przez Żydów.

Młode pokolenie handlowców polskich, aczkolwiek otaczane jest zasadniczo sympatią społeczeństwa, spotyka się jednak często z zarzutami, że nie spełnia nadziei, jakie w nim są pakładane. Zewsząd słyszy się narzekania, że młodzi absolwenci szkół handlowych nie idą właściwą drogą t. zn. do handlu i że raczej wolą przyjąć marną posadkę rządową, aniżeli poświęcić się samodzielnej pracy. Zarzuca się naszej młodzieży karierowiczostwo, brak energii, silnej woli i inicjatywy. Ze specjalnym naciskiem podkreśla się, że istnieje dziedzina naszego życia gospodarczego, która może zatrudnić znaczną liczbę młodych sił, a mianowicie handel zagraniczny. Istotnie — handel zagraniczny jest dziedziną, która daje olbrzymie pole do inicjatywy. Istnieją jednak okoliczności, dzięki której przypomina on zaczarowaną krainę, dostępu do której bronią wilcze doły, zasieki i złe brytany. Handel zagraniczny został bowiem do tego stopnia opanowany przez żydów, że stał się niemal ich monopolem tak, że przy dziesiejszym systemie reglamentacji — jest rzeczą wprost niemożliwą bez specjalnej pomocy rozpocząć jakąkolwiek pracę.

Wojna światowa położyła kres dawnej epoce liberalizmu gospodarczego. Państwa nauczone doświadczeniem z okresu wojny światowej, a zwłaszcza państwa nowe, przeszły na system protekcyj i ograniczeń. Polska wkroczyła na tę samą drogę. Od maja 1936 r. wprowadzono u nas ostrą reglamentację handlu zagranicznego, ustalając zakazy przywozu na wszystkie artykuły, będące przedmiotem tego handlu. Do tego czasu istniała bowiem tylko częściowa reglamentacja przywozu i tylko 50 % artykułów podlegało ograniczeniom.

Reglamentacja przywozu wywarła ogromny wpływ na strukturę naszego handlu. Kupiec całą swą energię i inicjatywę obraca dziś w pierwszym rzędzie na otrzymanie pozwolenia przywozu w biurze rozdzielczym, jakim jest obecnie Centralna Komisja Przywozowa — organ samorządu gospodarczego, wykonywujący swe czynności z polecenia Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Po otrzymaniu pozwolenia przywozu kupiec ma do dyspozycji trzy miesiące czasu, w ciągu których ma możność zakupu towaru zagranicą i sprowadzenia go do Polski.

Komu udało się ustalić swoją pozycję w Centralnej Komisji Przywozowej i stale otrzymywać przydziały, ten pilnie strzeże swoich praw za pośrednictwem instytucji gospodarczych, wchodzących w skład Centralnej Komisji Przywozowej, aby nikt inny nie dostał się na listę importerów, bo każdy nowy wprowadzony kupiec - importer oznacza zmniejszenie jego poprzednich przydziałów, a co za tym idzie i zysków. Nic więc dziwnego, że w ogromnej większości przywilej otrzymywania pozwoleń przywozu posiadają firmy stare, to znaczy — żydowskie. Nowy kupiec, pragnący zająć się handlem zagranicznym nie może nawet o tym marzyć. I nic tu nie pomoże ani chęć do pracy, ani energia, ani inicjatywa poparta w dodatku niewielkim kapitałem. W tych warunkach nowy importer jest narażony tylko na stratę tego, co posiada.

Jakże tu przy takim systemie handlu, a szczególnie przy takim ustosunkowaniu się do nowych importerów można mówić o równej i sprawiedliwej walce ekonomicznej?

Czy ma naprawdę istnieć wiecznie monopolistyczny klan importerów, którym udało się kiedyś zdobyć ten przywilej? Czy nikt z miarodajnych czynników, którym leży na sercu rozwój polskiego handlu, nie zastanowił się nigdy, że oto rzesza bezrobotnych młodych handlowców z dyplomami w ręku szturmuje beznadziejnie do bram handlu zagranicznego, nie mogąc przełamać opancerzonego faktycznym monopolem żydowskiego stanu posiadania? Czy w tych warunkach można narzekać na niezdolność i niezaradność młodego pokolenia?

Jeśli zdecydowaliśmy się na politykę reglamentacyjną, to stosujmy ją sprawiedliwie i konsekwentnie. Reglamentujmy nie tylko import, ale i przywileje otrzymywania pozwoleń przywozu. Wprowadzimy tą drogą nowych ludzi do niedostępnej im dotąd dziedziny. Niech w tej dziedzinie Polak przestanie być wreszcie obywatelem 3-ej kategorji.

Nowi ludzie wprowadzą do handlu nieznaną u nas, za wyjątkiem dzielnicy zachodniej, uczciwą etykę kupiecką, brak której u kupca żydowskiego tak dotkliwie odczuwamy na rynkach zagranicznych. W ten tylko sposób wyrobimy sobie markę solidnych kupców, dotrzymujących swoich obietnic i zobowiązań.

Liczna rzesza młodych polskich handlowców, zbrojna w inicjatywę i wiedzę fachową, zdolna jest zrehabilitować dobre imię handlu polskiego zagranicą. Ale trzeba jej w tym dopomóc.

Antoni Jabłoński.

Na falach polityki

Konfederacja Polska

Kronika życia politycznego w Polsce zanotowała w ostatnich czasach pewne b. charakterystyczne zjawisko. Jeden z odłamów b. Obozu Narodowo - Radykalnego, wydający dziennik „ABC", wystąpił z inicjatywą powołania do życia pewnego szczególnego związku p. n. Konfederacja Polska. Celem tego związku miało być skonsolidowanie działaczy narodowych z różnych obozów bez względu na ich przeszłość polityczną. Podstawą porozumienia miał służyć pewien krótki Dekalog o charakterze społecznym i moralnym.

Ponieważ główną przyczyną niepowodzenia licznych prób konsolidacyjnych był zarzut chęci objęcia przewództwa i upieczenia własnej pieczeni, — inicjatorzy zastrzegli się, że jedynym organem Konfederacji ma być Sąd Obywatelski, powołany z grona starszych i cieszących się zaufaniem osób. Sąd ten miałby wyrokować jedynie w przypadkach pogwałcenia przez członków Konfederacji zawartego w Dekalogu kodeksu moralno - ideowego.

Należy stwierdzić lojalnie, że jest to rzecz niewątpliwie nowa. Coś podobnego byłoby z pewnością nie do pomyślenia, naprz. przed dwoma laty, a nawet przed rokiem. Jest to jakgdyby sprawdzeniem się słów marsz. Śmigłego, że „musi się w Polsce stać coś nowego"...

Z drugiej zaś strony — jest to b. oryginalna i niewątpliwie sympatyczna próba pchnięcia naprzód sprawy konsolidacji „we własnym zakresie". Pozostawienie ludziom swobody działania w dziedzinie politycznej pod warunkiem przestrzegania w życiu pewnych reguł moralnych i ideowych — jest to rzecz w wysokim stopniu godna uznania. Coś bardzo podobnego głosił w swoim czasie Adam Skwarczyński. I nietylko głosił, lecz wcielał konsekwentnie w życie..

Upatrywanie w projekcie Konfederacji jakiejś konkurencji w stosunku do Obozu Zjednoczenia Narodowego nie wydaje się słuszne. Zbyt bowiem wyraźną i bijącą w oczy jest różnica podejścia i form organizacyjnych. Nie jest również słuszne wskazywanie na OZN jako na jedynie dopuszczalną płaszczyznę konsolidacji. Ażeby bowiem dojrzeć wewnętrznie do konsolidacji wyższego rzędu, jaką reprezentuje idea Zjednoczenia Narodowego, należy przedtem przejść samodzielnie przez szereg etapów pośrednich. Kategorie myślenia politycznego podlegają bowiem pewnym żelaznym prawom ewolucji, nie pozwalającym na przeskakiwanie poszczególnych ogniw rozwojowego łańcucha.

Można pozatem sparafrazować znaną przypowieść ewangeliczną i stwierdzić, że większą winna być radość z jednego szczerego porozumienia dwu grup narodowo - państwowych niż z 99 mechanicznych lub oportunistycznych akcesów...

„STAN NASYCENIA MATERJALNEGO SPRZYJA RACZEJ PSYCHICE SPOŻYWANIA I UŻYWANIA, NIŻ PSYCHICE GÓRNYCH PORYWÓW".

Adam Skwarczyński

Kartki z włóczęgi

Na styku trzech granic

Szeroka rzeka graniczna połyskuje w słońcu. Nad naszym brzegiem panuje wysoka czatownia: KOP czuwa. Niezastąpiony, niezrównany KOP. Na naszym brzegu jest cicho i wolno patrzeć na brzeg przeciwległy...

Stoi tam miasteczko. Na dachu piętrowego domu umieszczony potężny głośnik obwieszcza wsiem... wsiem... wsiem... chwałę sowieckiej ojczyzny. Wrzaskliwe słowa, muzykę taneczną, pieśni ludowe rosyjskie i białoruskie słychać od rana do nocy, dokładnie i daleko. Taka uzupełniająca propaganda dla tych na naszem pograniczu, którzy nie mają radia w domu. A takich jest przecież większość.

Czy, gdyby na naszym brzegu postawił ktoś silniejszy głośnik, którýby polskie słowa rzucał w przestrzeń ziemi połockiej, zostałoby to uznane za propagandę na terenie obcego państwa zabronioną przez traktaty? Zresztą niezależnie od tego głośnika płynie na falach eteru nieustanna propaganda sowiecka, antypolska, niedwuznacznie zmierzająca do rozbicia ziem, ledwo na nowo zcementowanych Na olbrzymich przestrzeniach naszych województw północno - wschodnich i wschodnich radiosłuchacze wiejscy — i nietylko wiejscy — słyszą przede wszystkim Mińsk i Moskwę. Falę wileńską trzeba pracowicie chwytać, warszawską tembardziej. Mówi się o projektach budowy nowych stacji polskich w Głębokiem, Baranowiczach, na Wołyniu. Podobno coś nawet zaczęto budować, a tymczasem sprawa jest pilna, bardzo pilna i to nie od wczoraj.

A gdy powstaną te nowe rozgłośnie — to — z jakim programem? „Muzyka z Gastronomii" i „podwieczorek przy mikrofonie" nie będą tu miały wielkiego znaczenia. Nowe, nadgraniczne rozgłośnie muszą się zdobyć na własny program oświatowy i rozrywkowy, dostosowany do potrzeb terenu, pożyteczny i miły dla masy wiejskich radiosłuchaczy. Program intensywnie polski i zarazem „regionalny".

Tymczasem głośnik obcy woła z tamtego brzegu...

* * *

Miasteczko jest obdrapane, biedne; tu i ówdzie widać kupę gruzów. Na ulicy ruszają się ludzie. Do brzegu nie podchodzą, w naszą stronę nie patrzą. Nie wolno. Brzeg jest odrutowany. Przez furtkę w ogrodzeniu przechodzi kobieta z wiadrami. Nie zatrzymuje się, nie patrzy, choć z brzegu naszego płyną jedna za drugą najbardziej niefrasobliwe piosenki. Śpiewa gromadka dziewcząt z którejś tam klasy gimnazjalnej.

Pojawia się wartownik. I jeszcze jeden, i jeszcze, i jeszcze kilku. Z za płotu, z za drzewa, z za węgła domu wypatrują, czy kto z sowieckich obywateli nie słucha melodji krakowiaków.

Głośnik na dachu nie milknie ani na chwilę. Ludzie znikli z ulicy. Na tamtym brzegu zapanowała nagle pustka, tylko nieruchomi wartownicy patrzą na nas. Lekki powiew wiatru rozwinął u szczytu wieży czerwony sztandar...

* * *

Pola, zarośla, znów pola. Taki sam krajobraz po tej i tamtej stronie. Pusto i cicho. Ciszę przerywa gwizd lokomotywy. W stronę granicy łotewskiej wlecze się pociąg. Idzie z Połocka. Sześć czy siedem starych wagonów towarowych, jeden osbowy — przesuwa sę za drzewami. I znów jest bardzo cicho.

Na wzgórzach w oddali stoją obce wieże strażnicze, kształtu olbrzymich pająków o długich, sztywno wyprostowanych odnóżach. Dziwaczne sylwetki, przypominające potwory z fantastycznych powieści Wellsa.

Na prawosławnym cmentarzu w Słobodzie prawie wszystkie krzyże są łacińskie. Unię skasowano tu za czasów Siemaszki, ale do dziś na prawosławnych pogrzebach śpiewane są polskie pieśni maryjne. Wśród drewnianych krzyżów nagrobek kamienny, z wykutym bardzo skomplikowanym rosyjskim napisem. Ale pod łacińskim krzyżykiem polskie litery „śp." Data: 1889 r.

Polskość Naddźwinia okupiono latami upartego trwania i walki. Przed kościółkiem zbudowanym we Wiacie, na styku trzech granic (jeszcze jedno dzieło KOP-u!) zebrały się wiejskie babuleńki. Co najstarsze — które nie poszły żąć. Pomału rozplątują się języki. Płyną opowiadania o tem, jak przed kilku tygodniami dzwon tu święcono. Dużo ludzi zebrało się na wzgórzu, przyszli nawet z dalekich wsi, i nabożeństwo było bardzo piękne. A na tamtym brzegu też ludzie się zebrali — z tej wsi naprzeciwko i patrzyli, nic — tylko patrzyli. Ale prędko nadbiegli żołnierze i rozpędzili wszystkich. A na tamtym cmentarzu stał dawniej duży krzyż stąd widoczny: niema go teraz. I na cerkwiach niema krzyżów. I ludzi ze wsi nadrzecznych powywozili gdzieś daleko; w nocy zabierali. Słyszano aż tutaj...

Patrzę na tamten brzeg. Fascynuje, ciągnie wzrok ta wieś szara, uśpiona w bujnej zieleni drzew i ten stary cmentarz spowity w zieloną gęstwinę, na którym już nie ma wysokiego krzyża.

* * *

Letnia, żniwna, upalna cisza. Szare wsie, wyboiste drogi; pola dorodnego lnu i pola marnego żyta. Północna Wileńszczyzna, zapomniana, zaniedbana, odwiedzana tylko przez fanatyków dzikiego piękna jej jezior i borów i ciszy jej przestrzeni, przewędrowana wszerz i wzdłuż przez szalonych włóczęgów pieszych i kajakowych; dziwny kraj umieszczony dziś na styku granic trzech państw, którego zadaniem było łączyć, krzepić, promieniować, jak to nakazał Batory...

Dusze ludzkie w tym kraju są zadumane i wpatrzone w głębie błękitnych jezior i w gwiaździste niebo północy. Lecz ciała bywają głodne a umysły wchłaniają wszelką napotkaną wiedzę — żądne wiedzy o świecie.

Polska B. A mogłoby i powinno być inaczej.

Z Dryssy dolatuje ryk głośnika sowieckiego...

* * *

100 nowych szkół powszecnnych to mało! Trzeba więcej i lepszych, niż obecne. Trzeba więcej parafii katolickich. Trzeba książek. Trzeba rozgłośni. Trzeba dróg — i inwestycyj i troski gospodarczej i polityki podatkowej. Trzeba wogóle polityki przez duże P. Chyba nie można wymagać by jeden KOP czynił to wszystko za wszystkich innych!

Letnia, żniwna cisza. W Jastarni, w Wiśle, w Worochcie i Druskienikach rojno i gwarno. Tutaj czuwa KOP i szeroka rzeka graniczna połyskuje w słońcu i mieni się opalowo w blaskach księżyca.

J. Siecińska.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Królewska 49 m. 34, tel. 3-37-95. PRENUMERATA: rocznie 3 zł, półrocznie 1,50 zł. Konto PKO. 4.425. — Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz 17 do 18.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: *Tadeusz Skonieczny*. . .

Salezjańska Szkoła Rzem. Dział Graf. Warszawa, ul. ks. Siemca 6.